

Monika Gabriela Bartoszewicz: Pochwała NATOsceptycyzmu

Nasze strategie opracowywane są w oparciu o założenie, że obecne granice Polski już nigdy się nie przesuną, bo dzięki NATO i UE odwieczne prawa historyczne uległy zawieszeniu.

Jakiś czas temu wspominałam Andrzeja Bobkowskiego, który pisząc w 1941 roku, w Paryżu, o polskiej polityce zagranicznej wylewał z siebie ironizującą gorycz. Zżymał się na tę Polskę, którą określał mianem mieszaniny bigosu z Matką Boską i bez litości piętnował uświęconą tradycją polskie przywary, zaś wśród nich szczególnie krótkowzroczny romantyzm, zadufanie że jakoś to będzie i tę typową dla Polaków geopolityczną naiwność. Jego zalecenia w tej kwestii są proste: Nie. Nie żadne „Kupą Mości Panowie”. Trzeba sięść spokojnie, zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i wpatrzeć się w szachownicę. I powtarzać sobie „Jestem Polakiem” bez piosenki o ułanie i bez mętnej metafizyki. Jego słowa są aktualne także i dziś; bo wbrew pozornym zmianom w geopolityce europejskiej, pomimo rekonfiguracji pionów i figur, zasady wielkiej gry wcale się nie zmieniły. Jesteśmy zbyt wiele warci, zbyt zdolni i lotni, narażeni na zbyt wiele zasadzek, żeby pozwalać sobie na politykę opartą na haśle „bezpieczeństwo prawem nie towarem”.

Przysłuchując się polskiej debacie publicznej dotyczącej bezpieczeństwa narodowego i miejsca Polski w obecnej układance politycznej oraz roli jaką odgrywa Sojusz Północnoatlantycki, można jednak dojść do wniosku, że w polskim myśleniu politycznym nadal króluje bigos z Matką Boską. Z mediów można się bowiem dowiedzieć, że co prawda warszawskie ‘szczytowanie’ NATO jest symboliczne, że te cztery bataliony to w sumie kropla w morzu potrzeb, ale przecież odgrywają ważną, psychologiczną rolę. Co prawda symulacje bezlitośnie wskazują na fakt, że w przypadku rzeczywistego konfliktu siły NATO są całkowicie bez szans, ale eksperci są zgodni, że nie ma co rozpętywać spirali zbrojeń, bo Rosja nieco się boczy a przecież w ogóle nie o to chodzi, żeby Polsce zapewniać jakieś twarde bezpieczeństwo,

tylko żeby pokazać dobrą wolę i pokazać, że *collective security* to nie jest kwiatek rosnący w rajskim ogrodzie wiecznego pokoju Immanuela Kanta, ale konkret. No to porozmawiajmy o konkretach.

W roku 1994, a zatem mniej więcej w okresie pierwszych polskich przysięg do członkostwa w NATO, John J. Mearsheimer, profesor uniwersytetu w Chicago, opublikował w prestiżowym czasopiśmie *International Security* artykuł pod tytułem „The False Promise of International Institutions” (Fałszywa obietnica instytucji międzynarodowych). Pisał w nim o tym, że politycy tworzący w Europie struktury bezpieczeństwa oparte na międzynarodowych instytucjach, czynią tak z jednej strony arbitralnie odrzucając politykę opartą na równowadze sił (balance-of-power politics), z drugiej zaś wychodzą z założenia, że to właśnie organizacje międzynarodowe są kluczem do osiągnięcia trwałego pokoju światowego. Oba argumenty rzucają wyzwanie realizmowi politycznemu, któremu hołduje Mearsheimer.

Każdy realista polityczny, twierdzi on, ma na tyle zdrowego rozsądku aby przyznać, że każda instytucja jest bowiem w istocie jedynie odzwierciedleniem potęgi i interesów państw będących jej członkami. Co więcej, interesy poszczególnych członków oparte są na egoistycznych kalkulacjach, dlatego też międzynarodowe instytucje mają marginalny wpływ na stabilność i bezpieczeństwo międzynarodowe, zaś na pewno ich wpływ i aktywność nie wyjdzie poza, czy wręcz wbrew preferencji najsilniejszych państw członkowskich. Dla politycznego realisty stosunki międzynarodowe to nie tyle stan nieustannej wojny, co stan nieustannego współzawodniczenia, co sprawia, że konflikt zawsze pozostaje jedną z możliwych opcji. Wbrew powszechnym opiniom, w świecie realizmu współpraca międzynarodowa nie jest rzadkością, czy też wyjątkiem od powszechnie przyjętych norm, jest ona wszakże poddana pewnym ograniczeniom wynikającym z dominującej logiki w bezpieczeństwa opartej o pierwszeństwo interesu własnego, którego nie jest w stanie wyeliminować żadna ilość współpracy, układów, umów, porozumień, czy instytucji. W takim świecie organizacje międzynarodowe przypominają instytucję małżeństwa z rozsądku; nie ma w tym zresztą nic złego – wiele takich małżeństw tworzyło stabilne, wieloletnie i relatywnie szczęśliwe stadła. Euforyczny ton polskich polityków i ekspertów zdaje

się jednak sugerować, że zamiast zaaranżowanego mariażu mamy do czynienia z gorącym romansiem wszech czasów na miarę Romea i Julii, w którym kochankowie są skłonni oddać za siebie życie.

Żaden region na świecie nie ma lepiej rozwiniętego systemu instytucji międzynarodowych niż Europa. Jest to system, w którym poszczególne elementy wzajemnie uzupełniają się i wzmacniają. Jednak dla państw takich jak Polska, uczestnictwo w instytucjach międzynarodowych nie może być rozpatrywane jedynie w kategoriach zerojedynkowych.

Należać do NATO dobrze, nie należeć do NATO źle. Oczywiście jest, że przynależność do NATO jest lepsza, niż pozostawanie poza sojuszem, ale w świecie wielkiej polityki nie chodzi tylko o to, czy ciasto zostało podzielone pomiędzy wszystkich, tylko komu i dlaczego przypadł w udziale największy kawałek z wisienką. Troska o relatywne korzyści idzie w parze ze zdrową obawą o bycie pozostawionym na lodzie.

Wypada zgodzić się z Rafałem Otoką-Frąckiewiczem, który przywołał słowa, jakie dowódca alianckiej 15. Grupy Armii we Włoszech wygłosił 24 maja 1944 roku: „Jeżeli mi dano do wyboru pomiędzy jakimikolwiek żołnierzami, których chciałbym mieć pod swoim dowództwem, wybrałbym was, Polaków”. Tymczasem – przypomniał dziennikarz – trzy miesiące wcześniej alianci sprzedali nas po cichu Stalinowi, a rok później nie zaprosili na paradę zwycięstwa.

To prawda, że czasem państwa współpracują ze sobą za pośrednictwem pewnych instytucji, nie można jednak ulegać iluzji, że to instytucje decydują o pokoju i wojnie za pomocą państw. Sam Mearsheimer przyznaje, że NATO stanowi przykład doskonale ilustrujący realistycznego podejścia do roli instytucji międzynarodowych. Pisze on bowiem: „Jako instytucja NATO rzeczywiście odegrało rolę w zapobieżeniu trzeciej wojny światowej i pomogło Zachodowi wygrać Zimną Wojnę. Niemniej jednak w swojej istocie NATO stanowiło odzwierciedlenie dwubiegunowego układu mocy w Europie w czasie Zimnej Wojny i to właśnie ten układ sił, nie zaś NATO *per se*, stanowił klucz do utrzymywania stabilności na kontynencie. W zasadzie NATO było amerykańskim narzędziem do zarządzania siłą wobec sowieckiego zagrożenia. Teraz, po upadku Związku Radzieckiego, realisci twierdzą, że NATO musi albo zniknąć, albo rekonstruować się w oparciu o nowe rozłożenie sił w Europie”.

Wystarczy przypomnieć sobie główne cele NATO, żeby dostrzec zasadność takiego rozumowania. Wyrażone lapidarnie określały zadania organizacji jako „keeping Americans in, Germans down, and Russians out”, czyli utrzymanie wpływów amerykańskich na kontynencie, wyeliminowanie wpływów rosyjskich oraz zminimalizowanie wpływów Niemiec. Ci, którzy do tej krótkiej listy chcieliby dopisać punkt czwarty „Poles safe”, czyli zapewnienie poczucia bezpieczeństwa Polsce, powinni w pierwszym rządzie zastanowić się w jakim stopniu udało się Sojuszowi swoje zimnowojenne cele zrealizować, w drugim zaś rozważyć zachowanie NATO podczas wojny w Jugosławii oraz przypomnieć sobie kiedy i w jakich okolicznościach przyrody po raz pierwszy (i jak dotąd ostatni) w historii został użyty artykuł 5 traktatu. Swoją drogą, kiedy po raz ostatni odwiedziłam bazy NATO w Kosowie w 2013 roku, żołnierze włoskiego kontyngentu nie bardzo ukrywali przede mną, że są na wakacjach, a żołnierze z obozu niemieckojęzycznego wyjaśniali, że jednym z ich głównych zajęć jest prowadzenie w okolicznych szkołach zajęć na temat segregacji odpadów. Znamienne jest to, że siłom K-FOR nie udało się ani zapobiec, ani przewidzieć tarć etnicznych, które wybuchły w Prizren w 2004 roku. Trochę to mówi o kierunku rekonstruowania się i dostosowaniu roli pełnionej przez tę instytucję w XXI wieku.

W dobie demokracji tabloidowo-popkulturowej, politycy muszą zachowywać się niczym celebryci umiejętnie dbający o łączenie milusińskości ze skandalem w odpowiednich proporcjach. Z tego powodu nie przywiązywałabym raczej wagi do tego, co rozmaite ważne osoby będą mówić przed, w trakcie i po zakończeniu szczytu. Okrągłe słowa tym różnią się od okrągłych stołów, że w sposób minimalny wpływają na rzeczywistość polityczną. Nie da się także pod nimi dobijać cichych targów. O wiele bardziej istotne będą decyzje podejmowane z dala od kamer i dziennikarzy, bez wiedzy opinii publicznej. Politycy muszą zdecydować o tym, co najodpowiedniejsze, najlepsze dla Polski, nie o tym co najbardziej prestiżowe, czy też zgodne z „intereseм wspólnoty międzynarodowej”. Nie dość, że w zwyczajnych warunkach pluralizmu opinii jest to dosyć trudne, to jeszcze w Polsce cierpimy na taką chroniczną przypadłość, że nie potrafimy formułować strategii politycznych, w której głównym punktem odniesienia i których ośrodkiem byłaby Warszawa.

Obok politycznego bigosu, specjalnością polskiej kuchni jest *eintopf*: polityka jednostronna, co gorsza mająca swoje punkty wyjścia nie w Warszawie ale za granicą. W zależności od opcji politycznej będzie to zatem: polityka „na Moskwę” i polityka „na Berlin”, którą prowadzi się w oparciu o argumenty tworzone w oparciu o algorytm zachęcania, bądź zniechęcania do rozmaitych działań, bo to wzmocni/osłabi/rozjuszysprowokuje/nieodpowiednie skreślić/dodać dowolny czasownik Rosję vel Niemcy. Alternatywą jest polityka „na Brukselę”, no bo przecież co na tę hucpę powie matka Europa; w domyśle zaś rozumieć należy, że póki czegoś nie powie i nie wskaże co czynić należy, czynić należy jak najmniej, bo może wyjdziemy na głupków i znów się z nas na salonach śmiać będą. A tymczasem złotą zasadą polskiej polityki powinno być: jedno czynić, drugiego nie zaniedbywać, o trzecim zaś pamiętać. Politykę prowadzić należy wielotorowo, wielopłaszczyznowo i wielowymiarowo, jednocześnie przygotowując się na wypadek rozmaitych scenariuszy.

Wygra, kto się nie boi wojen - śpiewał Kaczmarek. Dlatego zamiast euforycznego ‘szczytowania’ zalecam zażyć sporą dozę NATOseptycyzmu. Mam nadzieję, że horyzont myślenia naszych polityków wykroczy poza przekonanie, że obecny układ geopolityczny jest czynnikiem, który nigdy nie ulegnie zmianie. Nasze strategie opracowywane są w oparciu o założenie, że obecne granice Polski już nigdy się nie przesuną, bo dzięki NATO i UE odwieczne prawa historyczne uległy zawieszeniu. Że gdy przyjdzie do wykładania kart na stół Amerykanie, w przeciwieństwie do Francuzów, będą chcieli umierać za Gdańsk, zaś dla Berlina realne układy z Moskwą nie będą bardziej intratne od górnolotnych zapewnień jakie padły w Warszawie. Potrzeba nam polityki, która w sytuacji ponownej zmiany granic w Europie, bez względu na to kiedy i z jakiego powodu do niej dojdzie, nie postawi nas w sytuacji, kiedy to znowu inni będą decydować o tym, jaki kształt powinien przybrać ten pozbawiony granic strategicznych, kłopotliwy kraj będący w istocie niską równiną przejściową pomiędzy Rosją a Niemcami. NATO może być w tej polityce narzędziem, jeśli będziemy wiedzieli w jaki sposób je wykorzystać, nie jest jednak kluczem do naszego bezpieczeństwa – je musimy sobie zapewnić sami.